

Przeglądnik dla Kobiet

PISMO

BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE.

WYCHODZI W POZNANIU CO DRUGĄ SOBOTĘ.

Rok II.

— Poznań, 18 marca 1882. —

Nr. 13.

W Poznaniu prenumerować można tylko w redakcyi, Piękary 16. Oplata kwartalna wynosi 3 marki, półroczna 6 mkr., roczna 12 mkr. z dostawieniem egz. do mieszkania. Na prowincyi, w Prusach Zach., oraz w całym państwie pruskim i w Niemczech prenumeratę kwartalną przyjmuje każda poczta, roczną lub półroczną tylko sama redakcyja: kwartalna wynosi 3 m. 50 f., półroczna 7 m., roczna 14 m. z przesłaniem egz. na miejsce.

Przedpłata dla Galicyi wynosi rocznie 8 zlr., półrocznie 4 zlr., ćwierrocznie 2 zlr., za co się przesyła franko. Zapisywać można albo wprost w redakcyi, albo w księgarniach S. A. Krzyżanowskiego w Krakowie i w Księgarni Polskiej we Lwowie. Inseraty przyjmują się w redakcyi za opłatą 30 f. od wiersza dwulubowego.

Wieczorne pogadanki starej babuni.

IV.

O posłannictwie człowieka.

Myśl o śmierci powinna nam wskazywać, jak żyć trzeba, aby zostawić po sobie ślady istnienia i długotrwałe wspomnienie. Przez zbieg usiłowań indywidualnych, zwróconych do jednego celu, choć w rozmaitych sferach działających, cała ludzkość postępuje w oświacie, moralności i dobrobycie. Fałszywa filozofia, duma, niedbalstwo, przesady, niskie, osobiste cele, wszystkie te błędy i wady, których źródłem jest zapomnienie o przyrodzonych obowiązkach, opóźniają postęp w dobrem ludzkości, przedłużają panowanie ciemnoty i zepsucia obyczajów, tej zaraźliwej choroby, która nie pozwala społeczeństwu wznieść się i rozwijać. Ale choć te choroby społeczne są rzeczywiście bardzo trudne do uleczenia z powodu przeszkód, z nas samych wypływających, można je jednak właściwie dla tego stłumić wytrwale, ciągłym staraniem i wstrzymać szerszy ich rozwój.

Przypatrzwszy się bliżej dziełom ludzkości od początku tworzenia się społeczeństw ludzkich, widzimy, że w przebiegu wieków ogromne już zrobiono postępy ku lepszemu, a mogłyby one być jeszcze znakomitsze, gdyby więcej zwracano uwagi na skłonności, talenta i prace pojedynczych jednostek we wszystkich klasach społeczeństwa.

Im więcej radzimy się w tym względzie sławnych myślicieli i filozofów wieków ubiegłych, tem więcej przekonujemy się, że oświata, to jest rozwój umysłowy, jest najgłówniejszą i prawie jedyną dźwignią postępu w cnocie i moralności.

Nauki przez długi czas wyłącznie zamknięte w Grecyi, w tej klasycznej ojczyźnie ludzi genialnych, zostały na kilka wieków przytłumione gwałtownym napadem barbarzyńców, lecz wyszły znów tryumfujące z łona ciemnoty w czasie odrodzenia, a uzupełnione jedyną, zdrową filozofią chrześcijańską, zaszczerpiły w większej części Europy cywilizacyą i oświatę. Ta znów rozszerzona wielkimi wynalazkami i zbawiennymi ustawami, niezmiernie wiele przyczyniła się do dobra ludzkości.

Jednakże naszym dopiero czasem przeznaczonem było poznać ową prawdziwą filozofią chrześcijańską, zasadzającą

się na cnocie miłości bliźniego, uczącą, że uszlachetnianie i oświecanie ciemniejszych od nas braci jest nie tylko zasługą, ale obowiązkiem, przed którą żadnej pojedynczej jednostce cofać się nie wolno. Kochać ludzi jest pierwszym warunkiem, aby im dobrze mózdz służyć i przewodniczyć, a miłość i służenie bliźnim to podstawa wszelkich cnót i bohaterstwa, to dusza i cel wszelkiej wiedzy, to zaród czynów, do prawdziwej wiodących wielkości. „Panowanie idei filantropicznych powinno być cechą naszych czasów“, powiedział już Napoleon I. na początku tego stulecia.

Tak, jest to zaiste piękne posłannictwo człowieka przysługiwać się wszelkimi siłami do wielkiego dzieła umoralnienia ludzkości! Powinno ono przede wszystkim naszą zagrzewać młodzież, której się przez to tak obszerne, a dla nas, w naszym położeniu, najważniejsze i jedyne pole czynu otwiera. Zdrowe siły młodzieńcze, zwrócone od przemijających szarów i bezmyślnych uciech do tak poważnego celu, działać mogą najskuteczniej i najlepiej służyć ojczyźnie.

KILKA SŁÓW

Edwardzie Rastawieckim

i o rzeczywistym znaczeniu

naszej galeryi narodowej w Poznaniu

przez

hr. Wawrz. Benzelstjerna Engeströma.

Myśl i praca ojczysta, pod jakąkolwiek postacią, w jakimkolwiek kierunku, zawsze to jedna i ta sama idea świętego i podniosłego uczucia miłości ojczyzny i szlachetnego pojęcia obowiązków, jakie do myśli i pracy wspólnej serca rodaków prowadzić i zagrzewać powinna.

Myśli i pracy dla ludzi myślących i chętnych, dla umysłów poważnych, które duchem i sercem zdrowym chciałyby użytecznie na ojczystej niwie pracować, nie zabraknie nigdy w Ojczyźnie naszej.

Na jakimkolwiek bądź polu i jakąkolwiek siłą, byle woli i serca stało, obszerne i wdzięczne przed nami pole, a uczciwej, spokojnej i cichej pracy tyle i tyle jeszcze odłożym,

Że na życie starczy całe.
Nie człowieka — lecz narodu.

W dziedzinach tej myśli i pracy codziennej pierwszorzędne zajmować powinny i zajmują miejsce sprawy i obowiązki, do których Opatrzność nas powołując, w ręce nam je oddaje.

Rozpatrując się zatem doma, tutaj, w rodzinnej zagrodzie naszej, podjąłem mimochodem jedno z maluczkich i pojedynczych zadań pracy i myśli naszej domowej, skromną a wdzięczną dziedzinę sztuki ojczystej i jej skarba narodowego rzecz o galerii naszej, o jej myśli przewodniej i spadkobierstwie idei obierając za przedmiot niniejszego poglądu, którym uwagę waszą zająć postanowiłem, myśl i serce doń zagrzewając.

Na każdym niemal polu myśli i pracy ojczystej, w każdym niemal kierunku pocziwego zadania mieliśmy przodowników i mecenasów, którzy sercem i mieniem krajowi służąc, otwierali nam nowych zadań i obowiązków podwoje, pod lemię ducha nową nam rolę przygotowując. Zbytecznieby tu było rozwijać w gronie naszym wielkopolskim całą plejadę tych przodowników, których zasługi i praca, których przykład i poświęcenie głęboko w pamięci i sercu zapisane, chluba są i zaszczytem dzielnic naszej.

Z uczuciem czei głębokiej i wdzięcznego poszanowania wspomnę tu mimochodem kilku. Edward Raczynski, Tytus Działyński, ukochana postać dr. Karola Marcinkowskiego i tylu innych, których wspomnienia jasne gwiazdami ducha na wielkopolskim świecą błękitach.

Nie potrzebuję wam przypominać ofiarnych zasług obywatelskich i gorącego serca ostatniego z tych naszych wielkich mecenasów i dobroczyńców społeczeństwa wielkopolskiego, którego szczodrym duchem i poświęceniem poczęta, wznosi się dzisiaj naukowa skarbnica nasza, w której otwarte podwoje was zaprosiwszy, jedną jej tylko część i jeden pojedynczy kierunek pracy i myśli ojczystej obieram za temat mej opowieści, aby zaznaczyć i uświęcić w krótkim zarysie dziedziczny ten skarb ojcowy, uwydatnić myśl jego przewodnią, uzasadnić i wskazać spuścizną ojców o dziedziczone spadkobierstwo idei, nowy kierunek myśli i pracy na rodzinnym polu.

Chcąc mówić o naszej galerii artystów polskich, o jej rzeczywistym znaczeniu, chcąc w całym świetle wykazać ważność drogiego skarbu, jakim się wzbogaciła dzielnica nasza, wypada nam zastanowić się przede wszystkim nad myślą źródłową, która ten skarb stworzyła i ręką Opatrzności za pośrednictwem śp. Seweryna Mielżyńskiego ziemi je naszej oddaje.

Obok pamięci szczodrobliwego mecenasu, który serce i mienie sprawie ojczystej składając w ofierze, na ziemi wielkopolskiej wieczystą pozostawił pamiątkę, we wdzięcznym sercu rodaków imię swe zapisując, występuje tu pokrewna mu duchem postać pracownika narodowego, którego myśl ojczystą w przekazanym skarbie nam powierzono.

Nabyte przez Mielżyńskiego bogactwa, które oglądamy dziś w naszym muzeum, są myślą i pracą całego żywota jednego z tych wyjątkowych synów ojczyzny, którzy wśród życia towarzyskiego ludzi bogatych wyższym połem ducha umieli i chcieli służyć dla kraju mienie i wykształcenie na cele wznioślejsze od tych, jakie zazwyczaj zakładają sobie w społeczeństwie bogato uposażeni wybrańcy fortuny.

Znane są w całej Polsce dwa takie duchy pokrewne, wspierające się wzajem, dopełniające sercem i myślą wspól-

ną. Myśl i praca narodowa Aleksandra hr. Przezdzieckiego i Edwarda br. Rastawieckiego całą plejadą czynów są prawdziwą ilustracją naukowej i artystycznej historii naszej.

Wszystkie narody i społeczeństwa w miarę rozwoju ducha i oświaty, których najpiękniejszym owocem jest dobrze pojęta i szlachetnie zrozumiana miłość ojczyzny i pojęcie rozumne obowiązków rodowych, przedstawiają nam ludzi wyższych sercem i duchem, którzy z przekonania żywią w sobie to wyższe poczucie obowiązku poświęcenia się dla sprawy ojczystej i spełniają ten obowiązek z zapałem wedle siły położenia, możliwości i sposobień.

Tacy szafarze skarbnicy Bożej, rzeczywiscie mecenas i dobroczyńcy społeczni, takie wyjątkowe jednostki, nie z kraju i li tylko dla siebie, lecz dla kraju i dla idei rozumnie i szlachetnie żyjące, są najpiękniejszym wykwitem kultury i żywotności narodu, są tą rzeczywistą i w całym znaczeniu tego wyrazu dobrze pojętą i zrozumianą starszą narodową, jedynie zdrowo uzasadnioną arystokracją społeczną, która duchem i sercem, pracą i poświęceniem górując, zawsze i wszędzie poszanowana, nieśmiertelnym wieńcem czei i uznania jest otoczona.

Nasze ubogie i pognebane społeczeństwo polskie we wszystkich dzielnicach ojczyzny poszczycić się może bogatym szeregiem takich wybrańców serca i ducha, takich rzeczywistych mecenasów narodu, którzy w całym znaczeniu tego wyrazu nie tylko mieniem, ale jednocześnie i duchem, bogactwo i stanowisko swoje wobec ojczyzny i społeczeństwa zaznaczyć i spożytkować umieli.

Szczęśliwi pod tym względem byliśmy dotąd w Polsce, miejmy nadzieję, że i w przyszłości ojcom dorównają syny! Będąc dzisiaj spadkobiercami ofiarnej myśli i pracy jednego z takich rzeczywistych szafarzy i przodowników oświaty naszej ojczystej, a będąc zarazem już z obowiązku spadkobiercami przekazanej idei, wobec powierzonych nam ręką Mielżyńskiego skarbów muzealnych zapoznać nam się drzędę wszystkim wypada z dążnością i duchem, z myślą i pracą tego, który te skarby stworzył, którymi Kraków, Warszawa i Poznań bogato dzisiaj uposażone. Chcąc poznać myśl i znaczenie zbiorów, jakie się nam po Rastawieckim dostały, poświęcić nam tu potrzeba chwilę pamięci jego życia i zasług, o jego dążności i kierunku ofiary i pracy w ojczyźnie naszej kilka pobieżnych kreślić wyrazów.

Baron Edward Rastawiecki urodzony w dziedzicznym majątku Nowosiłki, w powiecie Tomaszowskim, w Lubelskiem, z ojca Tomasza i matki Teresy z Krajewskich w roku 1804, kształcił się w liceum warszawskim i uniwersytecie aleksandryjskim. Od roku 1829 rozpoczął zawód służby i pracy ojczystej, jako urzędnik Towarzystwa Kredytowego-rolniczego i w biurze Heroldyi.

Duchem wykształconym i rozmiłowanym w estetyce, był jednym z pierwszych założycieli, a zarazem wiceprezsem Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Warszawie, oraz członkiem Towarzystw naukowych w Petersburgu, Moskwie, Wilnie, Krakowie i Kopenhadze. Na tem stanowisku rzeczywistego estetyka widzimy Rastawieckiego w ciągu całego żywota niezmordowanym pracownikiem i opiekunem szczodrym sztuk pięknych, a na ich polu z wyższym uczuciem prawdziwego syna ojczyzny estetykiem-Polakiem i w szczególności orędownikiem i opiekunem sztuki polskiej.

Życie swoje i znaczną część mienia poświęcił zbiorom sztuki narodowej i sumiennym badaniom dziejów estetyki polskiej. Liczne nakłady wydawnictw narodowych, prace literackie, popieranie artystów i uczonych, a następnie zbiory bogate, które się po nim społeczeństwu polskiemu trzech dzielnic naszych dostały, pozostaną wiekopómnym pomnikiem zasług i pracy narodowej przodownika oświaty i sztuki polskiej.

Rastawiecki, jako estetyk polski, poświęcający się sztuce i starożytnościom ojczystym, jest u nas w Polsce

niemal twórcą i pierwszym przodownikiem nowej nauki i pracy, której otwiera podwoje.

Z małym bowiem wyjątkiem przedmiotami temi zajmowano się u nas dotąd bardzo niewiele, o istnieniu zaś sztuki w Polsce, o jej charakterystyce i dziejach nie miano nawet wyobrażenia.

W obojętnej więc na pozór, w nieznaney u nas dziedzinie, na odłogiem leżącym zagonie myśli i pracy polskiej rozpoczął Rastawiecki skrzętne zabiegi swoje, w duchu czysto narodowym — i wzrastać poczęły skarby, rozmnażały się zbiory, w myśli polskiej gromadzone starannie. Zajął się początkowo numizmatyką polską, zgromadził już zbiór poważny, ale zrażony niesumiennością podrabiaczy, co chcieli nadużywać zaufania jego, zaniedbał dalszej pracy, której mu trudno było podołać. Rozpoczęte na tem polu badania naukowe i dalszy rozwój nauki podjęli przykładem jego zachęceni inni pracownicy i myśliciele nasi, na których czele wybitne stanowisko przodownika numizmatyki polskiej zdaniem mojem zasłużonemu Bayerowi przyznać należy.

Rastawiecki natomiast całą duszą oddał się zbieraniu zabytków literackich, artystycznych i rękodzielniczych, w dziedzinach historii i sztuki polskiej uważnie się rozpatrując.

W imię rzeczy ojczyściej nie szczędząc nakładów, otoczył się też niebawem zbiorami wielkiego znaczenia, których myślą przewodnią było naukowe i plastyczne zarazem uosobienie historii sztuki ojczyściej, wyświecenie źródłowe życia jej i rozwoju w Polsce, zaznaczenie jej charakteru narodowego. Najprzedniejsze też wkrótce utwory pędzła i ryłca społecznych i dawnych malarzy i rytowników — o ile to dlań możliwe było, ozdobiły bogate zbiory Rastawieckiego.

Nie samem już tylko poczuciem miłośnika zbiorów ojczyściej powodowany, ale wiedziony tą wyższą myślą pracownika i przodownika wiedzy ojczyściej, której nam nowe myśli i pracy odsłaniał kierunki, starał się ten estetyk nasz polski jednocześnie o umiejętne wykazanie znaczenia i wartości idei, która, wytwarzając oddzielny dział naukowy w dziedzinie ducha narodowego, miała przynieść pożytek pokoleniom następny, rozwijając w nich poczucie i zamilowanie piękna, którego stając się duchem opiekuńczym w narodzie, zapowiadał nam przyszłość nową, epokę dni naszych przygotowując.

W imieniu więc tej idei, dla pożytku publicznego — nie tylko że sam pracował z zapałem prawdziwego męża nauki, ale, jakśmy wyżej rzekli, wspierał szczerze i zachęcał innych do pracy, która pod okiem i kierunkiem jego poważnie się już rozwijać zaczęła.

Już od roku 1843 rozpoczyna on zawód swój literacki, występuje w noworoczniku *Niezapominajki* i w rozpoczynającej podówczas wychodzić Bibliotecę warszawską, w której przede wszystkim zaznaczyć nam trzeba rozprawę *O zabytkach starożytności na ziemi naszej*, w roku 1844 w tomie I Biblioteki umieszczoną.

Zaraz w roku następnym wydał swoim nakładem najlepsze dotąd w Polsce dzieło numizmatyczne *Zagórskiego Ignacego*, pod tytułem *Monety dawnej Polski* w 2 grubych tomach, których wspaniałe wydanie, ozdobione licznym szeregiem pięknie wykonanych rycin i tem samem wymagające wielkiego nakładu, bez ofiarności tego mecenasu dotądby może pozostało nieznanie.

Skutkiem zabiegów i ofiarności Rastawieckiego powstała jedyna dotąd *Mapografia dawnej Polski*, wydana w Warszawie w roku 1846; nabył on bowiem znaczny zbiór map krajowych, które spisał i urządził przed wiekiem jeszcze Daniel Janocki, bibliotekarz Załuskich, a wyrwawszy ten skarb nieznanym i pomnożywszy go licznymi odkryciami i nabytkami osobistymi, epokowe niemal wytworzył dzieło, którem się Polska sprawiedliwie poszczycić może.

Po tych kilku pracach i zasługach wstępnych poświę-

cił się już wyłącznie badanionm dziejów sztuki i archeologii ojczyściej.

Przejęty wielką ideą i niezaprzeczoną prawdą, że sztuka, że istnienie, pojęcie i poczucie piękna, podnoszącego ducha w idealne wyżyny uczuć i myśli, są rzeczywistym wykwitem cywilizacji narodu, niezachwiane miał przekonanie i wiarę w jej istnienie w ukochanej ojczyźnie swej i starał się wpoić wszystkim tę wiarę i przekonanie, uzasadnić je i wyświecić, że mimo wszelkich zapór i przeszkód dziejowych politycznego i historycznego położenia naszego, Polska duchowo zmysłu estetycznego nigdy pozbawioną nie była, że duch piękna w niej żył i żyje, że sztuka polska ma także dzieje i przeszłość swoje żywotną, charakterystykę swoje i piętno narodowe, godne bliższego poznania i ocenienia. Uzasadniając tę prawdę narodową, to przekonanie, udawał ją ciągnąć pracą i badaniami historycznymi wielkiego dziś dla nas znaczenia. W Bibliotece warszawskiej w roku 1846 ukazała się znamienita praca jego: *Żywoty malarzy polskich: Marcelego Bacciarelego i Antoniego Brodowskiego*, w 1847 żywot *Szymona Czechowicza i Franciszka Smuglewicza*, dwóch *Kopeckich* i *Jana Kasińskiego*; w roku następnym: wiadomość o medalierze i rzeźbiarzu *Janie Regulskim*, w roku zaś 1850 wydrukował w *Pamiętniku sztuk pięknych Podczaszyńskiego* żywot *Aleksandra Orłowskiego*, genialnego naszego artysty.

Były to kroki wstępne, praca przygotowcza w zawodzie autorskim, w którym możnolnie zbierał materiały do przewodniego zadania. Ukazał się nareszcie *Słownik malarzy polskich*, pomnikowe dzieło w trzech po sobie następujących tomach w roku 1850-ym 1 i 7 — ozdobionych 48 wizerunkami, wykonanymi genialną ręką *Piegarskiego*.

Dzieło to pierwsze w swoim rodzaju w literaturze estetyki kraju naszego ze stanowiska bibliograficznego, olbrzymią ma zasługę bogactwem wiadomości, dat i nazwisk artystów polskich, wykazującym źródła obfite do dalszego dziejopisarstwa estetyki naszej narodowej.

Praca, tak sumiennie przeprowadzona, wymagała trudów i nakładów olbrzymich, zajęła też niemal większą część życia autora, który, poświęciwszy się jej, dalekie odbywać musiał podróże i kosztowne poszukiwania archiwalne, opłacając hojnie współpracowników, pod swoim kierunkiem do badań naukowych i do podróży ich używając, lub kupując posiadane indziej już materiały, które w *Słowniku malarzy polskich* spożytkować się dało.

Naukowo badając ulubiony swój przedmiot historycznej sztuki w Polsce i rozwoju duchowego oświaty narodowej, z której się ona konsekwentnie wyłania, z równym zapałem poświęcał się Rastawiecki archeologii naszej, pracował na tem polu, śledził i badał, a rozwijając naukę, zagrzewał do niej rodaków, hojną dłonią prace ich popierając.

Z jego to inicjatywy i jego kosztem podjął zasłużony nasz *Józef Łepkowski* podróż archeologiczną po Galicyi, podróż, która tak bogate przyniosła owoce i rozświeciła widnokrąg nasz naukowy.

Na tem polu archeologicznych poszukiwań Rastawieckiego Biblioteka warszawska od r. 1848—60 obejmuje prawdziwe skarby nauki, ręką jego pod tytułem: *Wspominki historyczno artystyczne spisane*. Pomiedzy temi wymienimy na przykład znakomitą rozprawę: *Wiadomości o sztukach pięknych za Władysława Jagiełły przy schyłku XIV wieku: muzyka, malarstwo i złotnictwo*, rzucające światło na stan owczesnej oświaty naszej i rozwoju estetycznego.

Niemniejszej zasługi są również w Bibliotece warszawskiej umieszczone rozprawy: „*O rycinach Jeremiasza Falka, Gdańszczanina Polaka*,” „*O naczyniach stołowych*,” „*O Wicie Stwoszu, jego pobycie w Norymberdze i przygodach tamże doznanych*.” Do napisania tej ostatniej pracy Rastawiecki przywiązywał

wielką wagę. W tym celu jedynie odbył podróż do Nurenbergii i przesiadywał tam długo, przeglądając archiwa miejskie, celem wyświecenia tragicznego epizodu żywota krakowskiego artysty.

Takimi pracami i poświęceniem niezmordowanym zjednał też sobie wkrótce szacunek i uznanie powszechne, pierwszorządne zajmując stanowisko w literaturze sztuk pięknych — pracowity estetyk polski.

Na tem polu spotyka się z Alex. Przeddzieckim, duchem pokrewnym, który pod wielu względami górując niemal nad zasługami Rastawieckiego, w dziedzinie pracy i poświęcenia w kierunku zasług ojczystych staje się jego bratem i przyjacielem, współpracownikiem, który go wspiera, podnosi i uzupełnia.

Połączeni tożsamością przekonań, zobopólnym szacunkiem i przyjaźnią niezłomną, w jednym i tym samym kierunku połączyli się z sobą, wspierając pomysły i prace wspólne z zapalem.

Owoce tej spójni i tego braterstwa duchownego zasłynęło też wkrótce kosztowne i wszystkim tu znane wydawnictwo publikacyi, jakiej Polska jeszcze nie miała i jakiej się podjąć mogli tylko tacy rzeczywiści mecenasi oświaty narodowej, ludzie zamożni, chcący i umiejący ofiarować dla ojczyzny pracować. Mówię tu o wspianiem i niesłuchanie kosztownem dziele, o przepysznym wydawnictwie *Wzórów Sztuki Średniowiecznej z epoki odrodzenia pod koniec wieku XVII w dawnej Polsce*, które niezaprzeczenie stoi na równi z najkosztowniejzszymi wydawnictwami tego rodzaju, na jakie się prasa zagraniczna zdobyła.

Przepyszne to dzieło, rozpoczęte w 1854 roku z wizerunkami, chromolitografowanymi początkowo w Paryżu, później również dobrze w Warszawie wykonanymi, obejmuje same zabytki krajowe, rysowane z oryginału przez artystów Polaków, nosi na sobie cechę czysto narodową i jest jednym z ważnych, a najpiękniejszych przyczynków historycznych w dziedzinie sztuki naszej ojczystej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BRACIA CIOTECZNI.

PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

Prolog.

Była to najprzyjemniejsza godzina dnia, wśród piękniejszej pory roku, w najczarowniejszym zakątku ziemi, — był jednym słowem poranek wiosenny w Sorento. Wszystko naokół błyszczało światłem, upajało wonią, kołysało harmonią; była to jedna z tych cudownych scen, w których natura w pełni młodociannych wdzięków woła sztukę, aby się karmiła jej uśmiechem. Nie dziw, że czarem swoim upoiła młodego malarza, który raz po raz zachwycone odrywał oko od stojącej przed nim sztalugi, aby błędzić po pysznym krajobrazie, owiniętym drzewami, zdobnym kwiatami, a oblanym złotym blaskiem słońca, tonącego w oddalonej fali. Wrzająca fantazyja artysty usiłowała zebrać całe piękno nieokreślone, aby je przelać w postać idealną, którą odwzorował pędzel. Malował Niepokalaną w modlitwie — a ktoby spojrział na ten cudowny profil, na wyraz niebiański twarzy, byłby go może ocenił godnym Corregia. Praca była prawie ukończona, a jednak jej autor nie przestawał poprawiać.

— Jeszcze troszkę cieniu tutaj, a będzie koniec — powiedział wreszcie do siebie — i dotknięciem pędzla wydłubił zgięcie bielutkiego woala, który, spadając z skroni boskiej dziewicy, dotykał skrzyżowanych rąk na piersi. Wreszcie młodzieniec odłożył pędzle, odstąpił o kilka kro-

ków, wpatrując się w obraz nieruchomie tym wzrokiem, w którym przebijała cała gorączka artysty.

— Teraz dobrze — mówił do siebie. Dobrze!... o nie... mój Boże!... co innego marzyłem. Nie było mi wybrać przedmiotu mniej palącego?... Ale Madonnę!... Rafael jeden malować ją potrafi!... A przecież przysięgałbym, że dzieła rąk jego zdawały mu się niczem w porównaniu z tą ideą, co mu wrzała w głowie. O Rafaelu! gdyby jedną twoją Madonnę zrobić i umrzeć potem!... Kto wie? Jestem młody, czuję iskrę geniuszu w duszy, ten mój niepokój każe mi w nią wierzyć... Zresztą jest to pierwsza próba... o! co mój mistrz, dobry tylko o niej powie? — jak on ją osądzi?...

Potem podjął raz jeszcze pędzel i nabrawszy białej farby, napisał u dołu płótna te słowa:

Drogiemu bratu, Emilowi Millini, ofiaruje G. D.

Potem przeszedł skromny salonik, który oddzielał pracownię od sypialni, przystanął na progu, dopóki zanucona arya z Cyrulika nie oznajmiła mu, że i brat jego Emil nie spał już także. Pchnął więc drzwi i w jednej chwili zarzucił ręce na szyję młodzienca prawie swego wieku, który, stojąc przed eleganckim zwierciadłem weneckim, zaczesywał starannie włosy.

— Ależ, Grzegorzu, zawołał młodzieniec pół żartobliwie, na pół zniecierpliwiony — nie widzisz, że gniesz wszystko na mnie!

— Nie gniewaj się, mój drogi. — odrzekł Grzegorz, — poprawiając mu na głowie pukle włosów, rozrzucone nieco, wskutek gwałtownych uścisków. Przyszedłem ci powiedzieć, że skończyłem Madonnę.

— Ciszę się z tego, ale nie mam czasu podziwiać jej teraz, mówił Emil obojętnie.

Grzegorz zarumienił się i umilkł pomieszany, po chwili począł głosem wzruszonym nieco:

— Ta pierwsza jednak praca moja obojętnaby ci być nie powinna, wybrałem umyślnie za przedmiot Madonnę, abys ją mógł umieścić nad łóżkiem swojej małżonki.

— Śmiesznyś Grzegorzu, ja dziś usposobienia do żartów nie mam! — odpowiedział Emil opryskliwie.

— Czy nie mówiłeś mi niedawno, że chciałbyś poślubić krewną twojego pryncypała?... i....

— Gdyby to wszystko zrobić można, co by się zrobić chciało!... przerwał Emil niecierpliwie.

— Ale... nie widzę, co by ci stało na przeszkodzie, nalegał Grzegorz. Ty ją kochasz, ona ciebie....

— Więcej też nie potrzeba, aby się ożenić po donkiszocku! Dziecko jesteś, znasz świat marzeń, ale w świecie rzeczywistym dzieje się inaczej, tam, wierzą mi, rachuje się grosz wszędzie.... a przede wszystkim w małżeństwie. Emil wymawiał te słowa z jakimś gorzkim uśmiechem, podczas kiedy Grzegorz słuchał z zadziwieniem i smutkiem.

— Miałaby cię spotkać odmowa?

— Tak... i nienajgrzeczniejsza.

— Fatalnie! zawołał Grzegorz oburzony. — Ale przynajmniej nie od niej?

— Nie, nie od niej; ona.... kto wie.... Przecież nie możnaby i tak wierzyć w grymasy kobiece!... Ale tę odmowę dał mi jej wuj.

— Mówiłeś mi przecież, że ani on, ani jego siostrzenica nie są bogaci.

— Co mi za bogactwo! Całem wianem dziewczyny będą dwa lub trzy tysiące dukatów! To jednak znaczy więcej, niżeli nic.

— Jakto nic! powiedziałeś im, że nie masz?

— Cóż innego miałem im powiedzieć? Prócz trzechset dukatów pensyi nie mam nic a nic.

— Co? A nasze sześć tysięcy dukatów?

— Nasze? Twoje, Grzegorzu!

— Dziwne wyobrażenie! — zawołał Grzegorz z takim wyrazem serdecznej wymówki, że aż Emilowi, choć niezbyt czulego był usposobienia, lzy stanęły w oczach. — Miałobyż interesa robić różnicę pomiędzy nami, cośmy

razem wzrosli, razem się od kolebki chowali, jak bracia? Nie, nie, co moje, jest twojem także!

— Dziękuję ci, drogi Grzegorzu, dziękuję za tyle hojności.

— To nie hojność, to obowiązek miłości dla ciebie i wzgląd na świętą pamięć mojej biednej matki. Czy pamiętasz?... konając na moim ręku, nie przestawała powtarzać: „Kochajcie się, jak bracia! Grzegorzu, we wszystkim uważaj za brata syna mojej siostry.“

— Zbytńo rozciągasz znacznie słów mojej biednej ciotki, takie uczucie jest ci zresztą właściwem. Ale przypuśćmy nawet, że przyjmę twoją ofiarę, czy myślisz że trzy tysiące dukatów nasyciłyby chciwość Don Makarego, który wymaga, aby mąż jego siostrzenicy posiadał przynajmniej jeszcze raz tyle, ile ona przyniesie posagu?

— Dwa lub trzy tysiące dukatów,.... obliczał Grzegorz z palcem na ustach. — Dwa razy tyle.... to byłoby pięć tysięcy prawie, a drugi tysiąc byłby na wydatki. Tak, będzie załatwione wszystko! dodał z miną tryumfującą.

— A to jak?

— Otóż, co dotąd nazywałeś mojem, od dziś możesz swoim nazywać.

— Co?... chciałbyś mi oddać?... Zastanów się, że nie o słowa tu chodzi!

— I słowem i czynem będziesz panem wszystkiego, drogi Emilu! Trochę pisania u notaryusza i sprawa ukończona.

Emil objął kuzyna, wołając: Grzegorzu! tyś anioł po-czeiwości.

— Tak, tak, uśmiechnął się szlachetny młodzieniec, któremu taka hojność była raczej potrzebą, niż obowiązkiem, nie potrwa długo, a skrzydła mi wyrosną. Spieszmy się tylko, chciałbym jeszcze dzisiaj załatwić tę sprawę.

— Bracie mój, mogę ja przystać na....

— Możesz, powinieś, obraziłbyś mnie odmową.

— Jeżeli tak.... ale nie! nie, jest to niepodobieństwem. Przypuśćmy n. p. że i w tobie odezwie się pragnienie pojęcia żony, cóżbyś zrobił wtedy?

Nagle zakłopotanie odbiło się w modrych oczach młodzieńca, po chwili jednak odrzekł z spokojem:

— Moją małżonką sztuka, innej nie wezmę nigdy, — rodziną moją będzie twoja. O! tak, nie odmówisz mi kącika przy ognisku twojem, a w dodatku wolności kołysania twoich dzieci na kolanach.

Za całą odpowiedź Emil wycisnął pocałunek na czole artysty i po chwili dopiero powiedział:

— Jest jeszcze trudność jedna.

— Jakaż?

— Nie chciałbym stawiać przed tym zrzęda, nie dawsz mu wprzód porządnej nauki, aby go na zawsze odeszła ochota znieważania ludzi, jak ja, honorowych. Byłbym mu ją dał zaraz, gdyby nie był naszej rozmowie mój pryncypał przytomny.

— Tak? No, to ja pójdę, albo raczej pójdźmy wprzód do notaryusza, stamtąd udam się do jegomości, a otrzymawszy jego pozwolenie, pójdziemy razem do domu twojej pani. Wten sposób pod moją opieką odnowi się dawny stosunek. Chcesz?

— Tak jest, mój drogi, jednak.... zastanów się nad tem, co robisz.

— O! święta cierpliwości! Wracamy znów do porządku? Dalejże! pospieszmy się! dam ci dobry przykład.

To mówiąc, posunął się na drugi koniec pokoju, zajęty przez niego, gdzie skromne meble, szafka z książkami klasyków odbijały prostotą od eleganckich mebli Emila. W dwóch minutach Grzegorz był gotów; zbliżając się z słomianym kapeluszem w ręku do kuzyna, który się jeszcze nie mógł oderwać od lustra, powiedział z uśmiechem:

— Pozwólże i mnie zajrzeć w lustro, aby się panna nie zgorszyła moją postacią.

— Ba! i bez tego potrafisz zyskać spojrzenie pięknych oczu!

— Tak, aby się tem korzystniej gdzieindziej zwróciły. Wśród żartów zbierali do wyjścia, a rzeczywiście za-

dnemu z nich natura macochą nie była. Emil wzrostu średniego, był kwitnącego zdrowia, rysów twarzy regularnych, włos miał czarny, kręący, oczy czarne, żywe; z usposobienia był zmyślny, giętki, dowcipny.

Grzegorz wzrostu wysokiego, włosy miał jasne, wzrok, jakby oderwany od otaczających go przedmiotów, był zawsze łagodny. Była to natura wylana, szlachetna i otwarta a skromna.

Nad wieczorem powracali upojeni powodzeniem. Następnej niedzieli miały być zaręczyny, a ślub za dwa miesiące. Grzegorz był tak zajęty, że nie spostrzegł powozu stojącego w bramie, dopiero Emil zwrócił jego uwagę, mówiąc:

— Chyba profesor wrócił, nie jego to powóz?...

— Zdaje się, odpowiedział Grzegorz. Wtem w oknie na pierwszym piętrze pokazała się główka siedemnastoletniej panienki, która, pozdrawiając ręką młodzieńców, pytała z zajęciem.

— Panie Grzegorzu, prawda, że praca skończona?

— Tak... to jest.... pani.... jakąś młody malarz.

— Tatko! kochany tatko, pójdźmy zobaczyć, zanim się zciemni, wołało dziewczę, odbiegając od okna. Grzegorz zbliżył się, w oczach mu pociemniało, jak gdyby od bliskiego sądu jego pracy zawisł wyrok życia lub śmierci. Kiedy na pierwszym piętrze spotkał go profesor z córką, głos jego drżał widocznie. Dziewczę pobiegło naprzód, lekkie jak ptaszek, a profesor B., jeden z najślawniejszych artystów swojego czasu, wsparty na ramieniu Emila, nie zdawał się nawet uważać na wzruszenie biednego Grzegorza. Wszli do pracowni, Grzegorz ostatni; oparty o ścianę, wlepił wzrok nie w płótno, ale w twarz mistrza, badając wrażenia, jakie na nim sprawi obraz. Sędziwy malarz przypatrywał się płótnu uważnie, zbliżał się, to znów oddalał o kroków kilka, uśmiechał się, brwi marszczył, aż zbliżając się do córki, zatopionej w podziwieniu:

— Co o tem myślisz — spytał — Cecylia?

— O! papo! — zawołało dziewczę z uniesieniem, to malowidło niebiańskie!

— Cieszę się z twojego dobrego gustu, dziecko, odrzekł ojciec. Ta praca mistrzowska zapowiada ci, Grzegorzu, powodzenie świetne; szcycę się uczniem takim. Dzisiaj, kiedy materyalizm tak gwałtownie zalewa nawet przybytek sztuki, daj Boże, aby młodzi artyści mieli te same, co ty, usposobienia, aby stawić czoło smutnemu prądowi i podnieść cześć ideału.

— Słyszysz, Grzegorzu? Czy niedość ci takiej zapłaty? — mówił Emil, dotykając z czułością ramienia kuzyna, który jak nieprzytomny zdawał się słów tych nie rozumieć. Mistrz tymczasem ścisnął mu rękę, powtarzając:

— Wybornie! znakomicie!

— Nie ludzę się więc?!... powiedział wreszcie głosem drżącym artysta.

— Co mówisz? Otóż na dowód szczerości słów moich mam do ciebie prośbę.

— Rozkazuj panie.

— Bądź mistrzem Cecylii.

— Ja... jej...! — zawołał Grzegorz, oblany rumieńcem, podczas kiedy Cecylia, uderzając w dłonie, z niewymownym uniesieniem wołała:

— Tak! tak! dziękuję ci, tatko, skorzystam wiele. Z tobą, coś tak zawsze zajęty, nie rozpocząłabym nauki nigdy. Kiedy pierwsza lekcja?

— Jutro, jeśli zechcesz, odpowiedział ojciec. — Przy-stajesz, Grzegorzu?

— Czy przystaje?... dobry Boże!

— A więc do jutra.

— Do jutra, mistrzu! powtórzyło dziewczę, wychodząc w towarzystwie Emila.

Za powrotem tegoż Grzegorz rzucił mu się w ramiona, bezsilny prawie z wzruszenia.

— Grzegorzu, co tobie? czyś chory? — pytał Emil, ocierając mu czoło, potem okryte.

— Nie.... odpowiedział mu głosem słabym — ale szczęścia tak wiele... za wiele naraz...

Emil usiadł na małej sofie pod oknem, gdzie dolatywał świeży zapach pomarańcz, a widząc, że towarzysz przyszedł do siebie, począł mu mówić o przyszłości, która im się od-tąd uśmiechała tak błogo. Grzegorz słuchał go uśmiech-nięty, aż Emil, ściskając mu rękę, powiedział znacząco:

— Wierz, mój Grzegorzu, serce mi powiada, że i ty skosztować musisz słodczych rodzinnych. Twoim myślom i uczuciom odpowiada może ktoś, co otoczony dostatkami, nie potrzebuje zawierać małżeństwa z potrzeby.

Grzegorz wstrząsł się, jakby dotknięty rozpalonem że-lazem.

— Emilu, zawołał gwałtownie, — nie mów mi tego! Potem dodał spokojniej:

— Pójdźmy na spoczynek, tak mi go potrzeba.

Tak się skończył dla obu ten dzień, którego wspo-mnienie trwać będzie tak długo, jak życie.

I.

Powolne dźwięki wieczornego dzwonu mieszały się z dalekiem i przeciągłym warczeniem grzmotu, który zwiastował nadchodzącą burzę. Wśród przerywanej błyskawicą ciemności dostrzedz można było powóz, przebiegający jedną z oddalonych ulic Neapolu. Kiedy stanął na jej końcu, ukazały się dwie postaci kobiece, jedna w kornecie siostry miłosierdzia, druga w ubraniu podróżnym, dziewczyna około lat może ośmnastu.

— Czyby to tutaj było? spytała po francuzku.

— Tak, moje dziecię — odpowiedziała siostra, przypa-trując się przy blasku latarni numerowi domu. — Numer 18, to tutaj. Wyjdźmy.

Wysiadły. Siostra zwróciła się ku idącemu przeciw nim człowiekowi, który się odłączył właśnie od grupy pijących obok lazaronów.

— Dobry człowieku, powiedziała akcentem cudzo-ziemskim, czy nie ma tam kogo, ktoby zaniósł kuferek na pierwsze piętro?

— Ha! ha! piękna mi sposobność obsługiwaną mni-szek! na to też tylko czekamy!

Zakończył zdanie jakimś grubiaństwem i odwrócił się od kobiet, wracając do towarzyszków.

Siostra spuściła oczy, a dziewczę, czepiając się jej ramie-nia, szeptało trwożliwie:

— Co on mówił? Ach! jak się boję tych ludzi.

Siostra ścisnęła jej rękę, jakby odwagi dodając, tym-czasem weturyn powiedział:

— Bądź pani spokojna, dam sobie radę z kufrem.

Kobiety podziękowały i weszły pośpiesznie na schody. Postępowały prawie omackiem, kierując się tylko bladym pro-mykiem światła, który dochodził od małego okienka, znaj-dującego się zwykle u drzwi wchodowych w miastach włoskich. Doszedłszy, zapukały.

— Czy to ty, mamó? spytał z środka głos dzie-cięcy.

— Nie, ale otwórz, Menikuciu.

Słyszeć się wtedy dało przysuwanie krzesła do drzwi i główka dziecka ukazała się w okienku.

— Wiecie moje imię, ale ja waszego głosu nie znam, otworzyć nie mogę, bo mnie mama wybije, kto jesteście?

— Jestem twoją siostrą, Julią, odpowiedziało dzie-wczę, pieszcząc przez kratę twarzyczkę chłopca.

— Moja siostra Julia?... ta córka papy, co była tam gdzieś daleko?... zawołał Menikucio i zszedłszy co pre-dzej z krzesła, pobiegł w głąb mieszkania, krzycząc z ca-łego gardła: Papo, wiesz, jest Julia!

Po chwili słychać było usuwanie krzesła, odmykanie zasuwki i chłopcyna może około sześciolatni wprowadzał do pokoju przybyłe. Jakies ciężkie, wilgotne i cuchnące powietrze zawiąło z mieszkania. Kiedy stanął w nędznie oświetlonym saloniku, Julia zapytała, siadając na starej ka-napie, która trzeszczała za każdym poruszeniem:

— Nie ma więc mamy w domu?

— Nie, poszła z Gwidem do wuja, odpowiedział

chłopczyk. Jesteśmy sami, ja i tato, a tato chory, leży tu obok.

I to mówiąc, zabrał lampę i wyszedł do przyległego pokoju, zamykając drzwi za sobą.

— Chory i sam! — mówiło dziewczę do towarzyszki, nadsluchując rozmowy cierpkiej, przerywanej kaszlem ochryplym.

Zanim siostra odpowiedziała, stanął na progu Meniku-czio, zapraszając do wejścia.

Najsmutniejsza scena uderzyła kobiety w tej niskiej, brudnej izdebce, pełnej nieporządku i okropnego zaduchu. Na nędznym łożu z oczami zamkniętymi leżał człowiek, okropnie wycieńczony chorobą.

— Moja córka!... gdzie jest moja córka?... wołał, podnosząc z wysileniem głowę.

— Jestem przy tobie, drogi ojcie, — odpowiedziała Julia, zbliżyła się do łóżka chorego, który pomimo konwul-syjnego drżenia w całej twarzy usiłował poznać córkę, pod-nosząc powieki, zaognione okropną olfamią. Po chwili jednak zamknął oczy, jakby omdlałe wysileniem, zasłaniając je pra-wą ręką, podczas kiedy lewą, bezwładną pozostawił w ręku córki.

Julia ucałowała tę rękę skostniałą i drżącą i mówiła z uczuciem:

— Biedny ojcie! nie możesz patrzeć na mnie, nie wy-leczyłeś się więc jeszcze z tej choroby oczu, której cię naba-wiło więzienie.

— Nie... i nie wyleczę się nigdy.

— Mój Boże! Czy doktorzy zwątpili już o tem?

— Co mi tam doktorzy! — zawołał chory niecierpli-wie. Oddawna posłałem tych szarlatanów do diabła.

— I nie używa pan żadnych środków? zapytała siostra.

— Żadnych. Dostępną męczarni zadaje choroba, aby się jeszcze lekarstwami męczyć.

— Ale, jeśli ci tego, ojcie, nie mówili lekarze, skąd ci ta smutna pewność?

— Stąd, że z tych chorób, które mi od lat dwudziestu grzbiet obarczają, jeszcze się nikt nie wyleczył. Nie ma dnia, żeby się nie odzywały dolegliwości stare, a przybyszły coraz nowe.

— Przynajmniej dzisiaj przyniosły panu ulgi nieco od-wiedziny córki — wtrąciła uprzejmie zakonnica.

Chory westchnął i jakby do siebie samego: Niespod-ziane... szeptał, dziwne to odwiedziny!

Biedne dziewczę, któremu niemniej niespodziane i dzi-wne zdawało się to przyjęcie, zapłonęło żywym rumieńcem, dodając:

— Ale ci nienatretne, ojcie, myślę...

— Mnie nie, ale się uprzykrzą prędko tobie.

— Dla czego tak mówisz, ojcie? — badała Julia z wzrastającym niepokojem.

— Bo dom nasz miłym ci być nie może.

— Ojcie, znam przecież wszystkie twoje nieszczęścia.

— Wszystkich nie znasz, znać nie możesz! przerwał gwałtownie chory.

— To, co wiem, jednak, wystarcza, abym ci się nie naprzykrzała, mój ojcie. Zanim przecież zamieszkam daleko od tych, którzy mi życie dali, pragnęłam gorąco ich ujrzeć i odebrać błogosławieństwo. To mnie sprowadziło w twój dom, który jest przecież i moim.

— Oby nim nie był nigdy, Julio! — zawołał chory ze smutkiem. — Żeś go teraz zobaczyła, wyjdzie ci na do-bre o tyle, że żyjąc zdala, płakać za nim nie będziesz.

Julia stanęła zamyślona, po chwili siostra powiedziała półgłosem:

— Julio, a kuferek?...

— Prawda, nie przynieśli go jeszcze, zawołało dziewczę z niepokojem. — Jakto być może?

— Bardzo naturalne, bo na ulicy, w podwórzu nie ma nikogo.

— O! w podwórzu jest szewc Pepe, on za kilka gro-szy cały świat przewróci, zawołał Menikucio, który zwy-

zajem dzieci nie biorąc w rozmowie udziału, słowa z niej jednak nie stracił.

— Jakby go zawołać?

— Ja pójdę — i zabierał się do wyjścia, ale wstrzymała go siostra, mówiąc: byłoby dobrze, gdybyśmy zeszli razem, już późno i chmurzy się coraz więcej. — Do widzenia, panie, za trzy lub cztery dni, pomimo smutnych przywidzeń spodziewam się zastać pana przy lepszym zdrowiu. Dobranoc.

— Dobranoc, odpowiadał chory i siostra wyszła z Menikuciem, przeprowadzona przez Julię. Na progu uściśnęły się kobiety.

— Do widzenia, Julio, niech Bóg będzie z tobą.

— O! tak, moja siostro, do widzenia prędko, jak raju przedzej!

Julia zamknawszy drzwi, powróciła do izdebki ojca, złożyła na krześle kapelusz i płaszczyk i usiadła przy łóżku, ale Menikucio i Pepo nie powracali. Przeszło pięć minut, dziesięć, które się biednemu dziewczęciu zdawały godziną, a dzwonek się nie odzywał. Na dworze wiatr świszczał, gwałtowny deszcz z gradem uderzał o szyby, — wtem nagle huk grzmotu zdawał się dom wysadzać z fundamentów. Chory podniósł się gwałtownie z poduszki i upadł, jęcząc, a dziewczę półmartwe ze strachu oprzytomniało tym jękiem, bo w sercu kobiety nie nie potrafił tak prędko zabić uczucia własnych cierpień, jak troska o drugich.

Julia powstała, schyliła się nad chorym i kładąc mu rękę na piersi, zrobiła nieznacznie znak krzyża św., mówiąc:

— Ojcie, drogi ojcie, nie obawiaj się, Bóg z nami.

— A Menikucio?...

— Powróci, powróci zaraz ... otóż i on! — dodała, słysząc gwałtowne pociągnięcie dzwonka; pobięła otworzyć, mówiąc sobie: on, albo mama!

Postać jednak, która stanęła przed nią, nie była ani kobiecą, ani dziecinna. Był to człowiek, otulony w szeroki płaszczyk, który mu nawet połowę twarzy zakrywał.

— Kto pan jesteś? — zawołała, nie zdejmując ręki z klamki i nie śmiejąc drzwi zamknąć przed obcym.

— Jestem agentem policyi, odpowiedział tonem zwierzchnika i przeszedł bez ceremonii obok Julii, kierując się do pokoju chorego; wstrzymała go jednak odważnie.

— Przepraszam, ale pan nie wejdiesz wprzód, aż uprzedzę mojego ojca chorego.

I przyspieszając kroku, wyprzedziła go, nie o tyle jednak, aby nie mógł usłyszeć gwałtownego przekleństwa, któremu chory odpowiedział na oznajmienie.

— Te wybuchy bezsilnej złości, mówił pogardliwie inspektor, wzbudzają raczej litość, niżeli gniew.

— Gniewu się nie boję, a litością pogardzam! — wołał chory. Czego chcesz tutaj?

— Ani mniej, ani więcej tylko sprawdzić, czy to rzeczywistość, czy też udana choroba, którą się od czterech tygodni wymawiacie od żadanego stawienia się.

— Czy prawdziwa!?... bodaj tak was trapiła!

— Powstrzymaj twój język obelżywy! bo tylko twoja choroba mnie wstrzymuje, że ci tych zniewag nie płacę.

— Zbyt wiele skrupułów na sumienie oprawcy.

Inspektor zaślepiony gniewem, podniósł rękę groźnie, a Julia, wybuchając płaczem: Panie! błagała — przebacz jemu! z bólu nie wie, co mówi.

— Ty! ty nie wiesz, co mówisz! nikczemna! żeby płakać i upokarzać się przed mordercami twojego ojca! — zawrzeszczał chory.

Julia zoszłochała głośnie, a inspektor, poruszony współluciem, które się budzi w sercach niezdziuczalnych zupełnie na widok cierpień istot słabych i pięknych, powiedział, biorąc ją za rękę:

— Uspokój się pani, tacy ludzie nie mają serca nawet dla własnych dzieci, ale przez wzgląd na ciebie nie policzę słów jego szalonych.

— Ach! a Menikucio? mój Boże! zawołało nagle z niepokojem dziewczę i z zażwionem jeszcze okiem opowiedział urzędnikowi, co zaszło.

— Kuferek będzie skradziony, a dziecko ... znikło, odpowiedział inspektor, wstrząsając głową.

Chory wydał krzyk stłumiony i przerwał szorstko Julii, która chciała błagać o pomoc.

— Czego chcesz znowu! oni co innego mają do roboty...

Jest czas, aby dokuczać ludziom uczciwym, ale go nie stać na prześladowanie złooczyńców.

— Ale, ojcie... na miłość Boga!...

— Co mi tam Bóg, co mi miłość!... i głos ochrypliwy przeszedł w drganie konwulsyjne.

Inspektor odszedł pospiesznie, pozdrowiwszy Julię, która pospieszyła drzwi za nim zamknąć, kiedy nagle doszedł ją głos płaczliwy Menikuczia: Julio! Julio! — W pospiechu złożyła latarnię na podłogę, zbiegła ze wschodów i porwawszy chłopczynę na ręce, zatrzymała się dopiero przed łóżkiem ojca, wołając:

— Mamy go, mamy Menikuczia!

— A mama idzie za mną, mówił chłopczyk, którego siostra posadziła przy łóżku.

Odwrociła głowę i ujrawszy wchodzącą kokietę, rzuciła się jej naprzeciw, wołając ze wzruszeniem: Mammo! droga mammo!

Spotkały się w saloniku, gdzie i Menikucio się znalazł; kobieta usiadłszy, przypatrywała się z rodzajem zdziwienia i podejrzenia córce, która jej płaszczyk zdejmowała zmoczony.

— Co to wszystko znaczy? nie rozumiem wcale, mówiła po chwili milczenia.

Julia opowiedziała jej o swojej dawno żywionej chęci oglądania swojego kraju, rodziców, zwłaszcza że objęciem nowego zawodu miała się od nich oddalić więcej; o szczególniejszej sposobności uczynienia zadość temu pragnieniu w towarzystwie siostry, której właśnie wypadła podróż do Neapolu, w końcu o swoim przybyciu, o wypadku z kuferkiem, odwiedzinach inspektora i zakończyła, mówiąc:

— Jesteśmy teraz, Bogu dzięki, razem i spokojni, ale opowiedz mi swoją przygodę Menikuczio?

— Kiedy stąd wychodziliśmy, zakonnica trzymała mnie za rękę i tak mnie pieściła...

— Jak chcecie, przerwała mu matka, woźnica uciekł z kuferkiem, taka sposobność nieczęsto się trafi. Któżby na jego miejscu inaczej zrobił!

— Zdawał się jednak taki uczciwy!

— Ha! ha! śmieszna bo jesteś, trzeba u ludzi trochę głębiej patrzeć, jak na pocziwe miny. Co ja, to nikomu nie wierzę, nawet rodzonemu ojcu, gdyby z tamtego wrócił świata.

Julia słuchała, jakby z obłoków spadała, tak ta mowa była odmienną od wszystkiego, co jej dotychczas mówiono.

— Co tam, mammo, — powiedziała wreszcie, chcąc zmienić przedmiot rozmowy, kto wziął to trochę rzeczy, niech się niemi ucieszy. A Gwido? ... spytała po chwili.

— Poszedł na swoje zwyczajną partyjkę.

— I nic nie wie o moim przybyciu?

— Jakże ma nie wiedzieć! Powracaliśmy razem, kiedy do nas przybiegł ten malec i oznajmił o tobie. Gwido cię pozdrawia, a przywita cię jutro, bo dziś wróci późno. Lecz musisz być zmęczona podróżą?

„Gwidowi nie spieszo mnie poznać, a i mama nie bardzo mi rada,“ myślała Julia, do żywego dotknięta tem przyjęciem, tak dalekiem od tego, jakie marzyła. Ukrywając jednak przykre wrażenie, odpowiedziała:

— Rzeczywiście, mammo, jestem zmęczona nieco, gdzie mam spać tej nocy?

— Otóż w tem sęk, czy nie obejrzałaś domu?

— Nie, mammo.

— Nie ma kąca próżnego, musisz się przespąć ze mną.

— Dobrze i tak, czy pozwolisz, abym cię wyprzedziła?

— Połóż się, dziecko moje, a jeśli potrzebować będziesz czego, wołaj mnie. Będę tu obok w kuchni. Dobranoc.

Julia pocałowała jej rękę, życząc także dobrej nocy, a potem dodało:

— Czy nie mogłabym jeszcze zajrzeć do papy?

— Śpi pewno, a zresztą...

— Tak jest, śpi, wtrącił Menikuczio, który nadszedł właśnie — i przez sen jęczy.

— Cicho, malcze, powinienbyś już być w łóżku, ofuknęła kobieta i wyszła, pociągając chłopca za sobą.

Rano klęczała jeszcze Julia przed obrazem Madonny, kiedy posłyszała lekkie pukanie do drzwi. Był to Menikuczio, który zaciekawiony, zapytał wchodząc:

— Co ty tam robisz?

Julia wycisnęła pocałunek na świeżej twarzyczce chłopczy.

— Co robisz? Polecałam cię Madonnie, ale i ty, dziecię moje, wstałeś dziś bardzo rychło.

— Powiedz raczej, nie spałeś, odpowiedział dzieciak, przecierając oczy.

— Jakto! nie spałeś tej nocy?

— A ba! idź i śpij z temi krzykami nad uchem.

— Jakie krzyki, Menikucziu?

— Papy! Istne utrapienie z temi jego chorobami.

— Tak mówić nie trzeba, mój drogi.

— Czemu? Mama tak mówi zawsze.

Julia westchnęła:

— Ale co jemu było?

— Kto to wie! Nie leżał chwili spokojnie, rzucił się, jęczał, wołał pić ciagle. Na domiar złego, wody zabrakło w karafce.

— Mój Boże! i nie mogłeś przynieść innej?

— A tak, iść samemu do kuchni, gdy ciemno.

— To czemu nie przyszedłeś wołać mamy?

— Tego też było potrzeba! ona się tam nie pokazuje, patrzeć na siebie nie mogą, jak pies z kotem.

— Mój Boże... westchnęła znowu z smutkiem głębokim. — A mama gdzie teraz?

— W kościele, na mszy

— A papa co robi?

Uspokoił się trochę, pytał mnie, czy jeszcze tu jesteś, co robisz — i dla tego przyszedłem.

— Chciał może, żebym przyszła?

— Nie, tego nie mówił.

— Idź do niego, mój braciszku i. pytaj ode mnie, czy pozwoli, abym do niego przyszła.

— Co on ma pozwalać? Chcesz, to pójdz!

— Nie, mój drogi, trzeba wprzód prosić o pozwolenie. Idź.

— To ciekawe! zawołał młody, spoglądając na siostrę zdziwiony. Wyszedł jednak, a za chwilę powrócił, mówiąc: Pójdz.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KORRESPONDENCJE „DWUTYGODNIKA.”

Paryż, dnia 12 Marca 1882.

Zawezwano mnie do dania czytelnikom Dwutygodnika sprawy z dwóch romansów, wyszłych w tym czasie: „Le maître des forges” znanego przez Serge Panine, Ohnet’a — i Eliane przez panią Augustus Craven. Przeczytawszy te trzy grube książki (bo Eliane ma dwa tomy) oddaję bez wahania się pierwszeństwo Elianie. Dwie te powieści niejedną wspólną myśl zawierają. Jednej, jak drugiej, celem ostatecznym wynagrodzenie cnoty po przebytych, ciężkich próbach i nieszczęściach, w jednej i drugiej miłość zdradzona, tu, jak tam nareszcie, intryga się wiąże wśród arystokratycznego świata z Faubourg St. Germain. Ale pani Craven pisze o świecie, znanym jej od kolebki, do którego należy, w którym żyła i wciąż żyje; Georges Ohnet przeciwnie tworzy sobie świat konwencyonalny. Nie dosyć, zaprawdę, tytułować tę margrabinę, tego dukim,

tych i owych hrabiami lub baronami, aby nam dać obraz tego towarzystwa, bądź co bądź w społeczeństwie francuzkiem swoją wybitność i odrębność przechowującego. Druga różnica i to główna jest w tem, że Ohnet napisał romans z uczciwymi tendencjami, a Pani Craven bez tendencji; w jej duszy i w jej wyobraźni wyidealizowanie postaci i charakterów jest poniekąd naturalnym rozwojem myśli. Stąd ten skutek, że Eliane wzrusza pomimo wygórowanych nieraz i przesadzonych uczuć, gdy w Maître des forges, czytelnik pomimo szlachetności bohaterów pozostaje zimnym, a co więcej nieprzychylnym. Przystępuję teraz do sprawozdania bez krytycznego rozbioru, gdyż krytyka nie daje czytelnikom, nieznającym dzieła, wystarczającego wyobrażenia o przedmiocie, powtóre zdanie osobiste ulegać zawsze musi rozmaitości wrażeń i zapatrywań, więc lepiej, aby każdy przez się przeniknął myśl autora i osądził, jak ją rozwinął, jak do celu dążył i jaki wreszcie cel osiągnął. Zaczynam od Eliany. (Eliane, 2 vol. chez Didier, librairie académique. Quai des Augustins.)

Eliane w dwudziestym roku życia sierota prawie od kolebki, wychowana przez dziadka, zamieszkałego w Anglii (bo ojciec jej, hrabia de Liminge, po dość hazardownem życiu poślubił był Angielkę) Eliane więc po śmierci dziadka opiekuna, znajduje schronienie we Francji u swej ciotki, margrabyń de Liminge. Margrabina owdowiała za młodu. Jest to kobieta z sercem i głową zarazem; praktyczna, zarządzająca sama wielkim majątkiem, tak, że jej syn Raynald, chociaż doszedł do lat mężkich i jej ośmnastoletnia córka Biana nie mają innej woli, jak raz wypowiedziana wola matki. Można prawie powiedzieć, że u margrabyń więcej jest głowy, niż serca. W taki to dom wchodzi Eliane de Liminge. Naturalnie Eliane jest piękną, ma szlachetne rysy, złote włosy, spadające na ramiona; oczy wielkie, niebieskie, patrzące daleko przed siebie, lub w siebie; przytem jest energiczna, panująca nad uczuciami, wyrozumiała, dobra, miłosierna, zdolna wszystkich poświęcić. Wychowana w starem zamczysku szkockiem, z daleka od świata i ludzi, nie zna wymagań świata, ale posiada wrodzony takt, delikatność i dystynkcyę. Pojęcia jej z razu nie mogą się łatwo pogodzić z temi, jakie w jej nowem otoczeniu bieg mają: małżeństwa na przykład nie rozumie bez miłości wzajemnej, bez długiej, poprzedniej znajomości, a tu jej kuzynka, Blanche, po jednym prezentacyjnym wieczorze, staje się narzeczoną p. Yves de Moléon, którego nigdy przedtem nie widziała, ale którego kochać będzie, bo u panien dobrze wychowanych miłość powstaje tylko po ślubie. Myślałem z początku, wyznając, że pani Craven powstaje przeciw podobnym związkom, opartym zwykłe na tym wyrazie ogólnym: „les convenances.” Jeżeli imię, majątek, zaćność rodzin są stosowne, wszystko się w takim razie między młodymi ludźmi stósować powinno. O serce nikt nie pyta i serca nawet w takich razach nie potrzeba... bo to ambaras! — ale dalszy ciąg powieści okazuje, że Yves i Blanche ubóstwiają się nawzajem, że wspólnie myślą, wspólnie chcą i wspólnie czują, jednym słowem, że podobne związki są najlepszą rękojmią szczęścia w życiu domowem. Margrabina, jak możecie panie sądzić, przeprowadziwszy pierwszy alians równie świetnie, jak pomyślnie, zamierza dalej postępować tą drogą. W tym celu do zamku w Erlon zaprasza z jednej strony księcia i księżnę de Longvilliers z wnuczką Konstancyą, którą przeznacza Raynaldowi, z drugiej wicehrabiego Horace de Trévals, który ma być szczęśliwym mężem Eliany. Nie zawsze atoli, co się raz powiodło, drugi raz się klei; odgadły czytelnicki, że pomiędzy kuzynami, między Raynaldem i Elianą powstało inne, głębsze, niż kuzynowskie uczucie, (ej! ci kuzyni, ci kuzyni!) że Raynald podziela teoryę Eliany co do miłości, że chociaż nie wypowiedzieli sobie słowa kocham, wiedzą jednak, że się kochają i to na zawsze, że ta miłość stanowi ich życie, i szczęście ich życia, że wynik tych wspólnych uczuć jest wyprawienie z kwitkiem Konstancyi i Horacyusza, którzy też później wspólnie się pocieszają i pobierają. Raynald po odprawieniu Konstancyi wyjawia swą tajemnicę matce: „Albo ta, albo żadna!” mówi o Elianie, matka atoli

o tej miłości słyszeć nie chce, bo najprzód takie związki sprzeciwiają się z jej przekonaniem religijnym, a powtóre matkę Eliany nieodpowiedni wcale fortunę Raynalda. Raynald, syn posłuszny i szlachetnych uczuć młodzieniec, nie mogąc serca z wolą matki pogodzić, wyjeżdża za granicę. Na tem się kończy tom pierwszy.

Na początku drugiego widzimy Raynalda w Rzymie. Serce ma skrwawione, ucieka od świata, jedyną jego rozrywką wieczory, spędzone u uczonego literata, Biagio Marini, na czytaniu wierszy boskiego poety, l'altissimo poeta. Biagio ma córkę Hersylię. Śliczne to dziewczę! o czarnych włosach, o wielkich, dziecinnej prostoty oczach, w których uśpioną namietność lada iskierka rozbudzi i rozpali. Hersylia posiada także głos anielski, oddziedziczony po matce, śpiewacze; mogłaby tym głosem miliony zarabiać, lecz pomimo chciwości i nalegań stryjaszka, Tadeo Marini i ciotuni, którzyby byli radzi kosztem siostrzenicy się wzbogacić, stary profesor nad progiem grobu (dotknięty jest bowiem sercową chorobą), broni córkę od tych pokus. Pewnego wieczora Raynald, usłyszawszy śpiew dziewczyny, porzuca lekcję, wchodzi z przyzwoleniem ojca do saloniku i od tego czasu (o! nieroztropny profesorze!) wieczory w trójkę spędzają, uprzyjemniając je śpiewem, czytaniem, deklamacją, gdyż Hersylia równie dobrze deklamuje, jak śpiewa. Raynald nie czuje dla niej nic w swem sercu, co by mogło zatrzeć wspomnienie Eliany, ale dobroć, prostota, posłuszeństwo i miłość, jakie Hersylia okazuje ojcu, wzbudzają w nim szczerą przyjaźń, a biedny Marini nie widzi, że Hersylia zmieniona, że podpada w niezwykły smutek, to znów ulega niczem na pozór niedającej się wytłumaczyć radości, że oczy jej często błyszczą od łez, a często tajemnym duszy lub serca zapałem. O młodości! o miłości! któż was w tych objawach nie poznaje, chyba ślepi! Więc też i Raynald i uczony Włoch są ślepy mi w interesie romansu pani Craven. Kto natomiast wytrzeszcza oczy i wszystko dostrzega, to ów podły Zio (stryj Hersylii), wyżej wspomniany Tadeo Marini. Przychodzi też dla niego pożądana chwila. Biagio umiera raptownie; przed samą śmiercią jednak ma tyle przytomności, że odwracając się do płaczącej córki, każe jej przysięgać na krzyż, na rany zbawiciela, że nigdy, nigdy nie wystąpi w teatrze. Hersylia przysięga, ale cóż pocinnie nieszczęśliwa po śmierci ojca? Sama jedna na świecie, do kogo się uda? jak się prze naturalności i chciwości krewnych? czy wezwie pomocy Raynalda? Raynald wprawdzie, współczuciem wzruszony, odwiedza sierotę po zgonie ojca, ale jest to w jego umiarkowaniu krok, niemożący ani jego, ani jej kompromitować. Niecierpią oni Raynalda, domyślają się, że on wpływem swoim Hersylię od teatru oddala, a zszedłszy ich raz na tête à tête, Tadeo niewątpliwie pohamować nie może: „Patrzcie! woła, Hersylia nie chce uczciwie na chleb zarabiać, używając głosu, daru bożego, a zapomina o swej godności! Za życia ojca przyjmowała hołdy tego panicza, a teraz, ledwo stary oczy zamknął, już i kochanka bezwstydnie do mieszkania wprowadza.“ Hersylia blada, jak trup, nie znajduje wyrażenia innych, jak wezwanie cudownej opieki: O! matko Najświętsza! zlituj się! — Raynald chwytając obłudnika za gardło, Matko Boska cudu dopełniła: „Córka Biagio Marini, powiada młody margrabia, ma od dziś męża, który jej bronić będzie, mężem tym, mścicielem, ja jestem.“

Jak w jednej chwili oburzenia, (bardzo chwalebniego, przyznaję,) może Raynald zapomnieć o miłości, o Elianie, o swej dumie rodowej, jak swe życie i innych poświęca dla słów takiego łotra, jak Tadeo, którego powinien był po prostu za drzwi wyrzucić, niech to sobie czytelniczki łaskawe, jak każda z nich chce i czuje, wytłumaczają. Po długim mnie, scena ta hazardowa potrzebowała głębszego psychologicznego rozwoju i logiczniejszego przeprowadzenia. Raynald, który, aby nie ubliżyć posłuszeństwu, winnemu matce, opuścił dom, kraj, Elianę, wszystko i wszystkich, co kochał, nie waha się teraz tej matce przez przyjaciela doznosić o odbytym już ślubie! Matka naturalnie przebaczyć nie może. Syn dla niej i rodziny stracony, a nawet nigdy

o nim nie wspominają. Jedna Eliana mu przebacza, wie przez tegoż przyjaciela, w jakich warunkach on się znajdował; wie, że postąpił, jak honorowy człowiek, że się poświęcił. Pewność, iż Raynald nie przestał być tym szlachetnym, prawym młodzieńcem, którego ukochała, kocha i kochać nie przestanie, staje się dla niej jakoby promykem w ciemnym nadal, jak grób, życiu. — Dwa lata mijają. Nieszczęścia jedne po drugich spadają na całą rodzinę, Raynald i Hersylia tracą córeczkę jedyną, co biedną matkę w rozpacz pogrąża. Z drugiej strony stara margrabina, tłumiąc swe zmartwienie, gryząc się nieustannie, zapada na zdrowiu. Wreszcie w Erlonie wybucha zaraźliwa choroba tyfus, a pierwszą ofiarą morderczej gorączki będzie Hersylia, którą mąż w nieobecności matki, przesiadującej teraz u zięcia, sprowadził do małej, własnej majątności w pobliżu, podczas gdy sam jedzie objąć daleką w wschodnich krajach posadę. Za dwa miesiące wróci po żonę i z nią na zawsze kraj i Europę pożegna. Ale żona, której nie kocha, przed którą wciąż, pasując się z sobą, udaje miłość, żona byłaby umarła, gdyby nie poświęcenie Eliany. Eliana bowiem z przyzwoleniem ciotki wybiera się do Erlonu, by z siostrami miłosierdzia chorych nawiedzać, pielęgnować, materyalnie i moralnie posilać. Hersylia wraca do zdrowia, przypomina sobie jednak, że niegdyś, za życia jeszcze ojca, gdy raz zanuciła piosenkę przed Raynaldem, on, zakrywając twarz rękoma, zawołał: O! nie to, signora Hersylia, nie to!

— Dla czego nie to, signor?

— Dla tego, że słyszałem tę piosenkę ostatnim razem z ust osoby, którą kochałem nad życie i którą straciłem.

— Poverina! czy umarła?

— Nie, dzięki Bogu, nie! żyje... ale nie mówmy już o tem.

Te słowa dawnej rozmowy ciągle brzmią teraz w uszach Hersylii. Raynald nie mógł kogo innego kochać, jak Elianę, wszak to jego kuzynka i jak piękna! jak dobra! jakie u niej serce, rozum, wykształcenie! Czem ona, biedna, prosta sobie Rzymianka, wyśpiewująca jak skowronek, niezdolna do jakiegobądź umysłowej pracy, porównywać się może do tej anielskiej istoty? Dopiero teraz wszystko jej się odsłania. Ona mężowskiego serca miłością nie mogła napełnić; on jej nie kochał, bo wciąż o tamtej myślał, on się dla niej poświęcił! A ona przecież go kocha nad życie, całą duszą, całą mocą kochania. — Ach! pocóż poznała Elianę, pocóż ją Eliana od śmierci obroniła? Lepiejby jej było umierać! Od tej chwili zapada na siłach biedna Hersylia; Elianę żegna z łzami w oczach, choć w biednym sercu z wdzięcznością pomieszana jest gorycz. Mąż wraca, ale o przesiedleniu się w wschodnie kraje mowy już być nie może. Hersylia coraz słabsza, trzeba jej łagodnych niebios, Śródziemnego morza, Madeiry, zieleni, wiecznie słońcem opromienionej. Ma wszystko, ale nie już nie pomaga, Hersylia umiera z żalu, umiera w chwili, gdy margrabina, zwalczona na koniec prośbami Eliany, stęsniona za synem, przebacza mu dawny krok nierozważny. Hersylia zatem umarła, a umarła spokojnie, jak dziecko, usypiając po pacierzu: „Nie płacz, mężu, bo tak lepiej będzie dla ciebie!“ Biedna doprawdy Hersylia! może też w istocie Raynaldowi będzie lepiej teraz. Wraca do domu, do matki, przygnębiony, zmieniony, stary przed laty. Rok upływa; żyje pod tym samym dachem, co Eliana, tem samem powietrzem oddycha, a jednak jego smutek się nie łagodzi, oczy swoje odwraca od oczu Eliany, nie przemawia już do niej, unika jej nawet.

— Powiedz mi, Raynaldzie, pyta wreszcie matka, czyż może być, abyś jej nie kochał?

— Matko, na Boga! o kimże chcesz mówić?

— O Elianie.

— O Elianie!... miły Boże! i pytasz mnie, czy ją kocham?

— Kochasz ją zawsze? więc dla czego nie o niej mi nie mówisz? czy dla tego, że dzisiaj już o mojem zezwoleniu wątpić nie możesz?

— O! matko moja, woła Raynald, padając na kolana,

to ona, ona mnie nie kocha, ja jej niegodny jestem, ona mnie nie kochała nigdy...

W tej chwili Eliana ukazuje się we drzwiach. Jak te panielki, w których się kochają biedni ludzie, zawsze w samą porę nadchodzą, gdy same kochają!

— Eliano! mój aniele! przystąpże do nas, powiada margrabina, popatrz mi w oczy, czy prawda, że nie kochasz już tego biednego Raynalda? że nigdy go nie kochałaś? że uważasz go za niegodnego ciebie?...

— O! ciociu! nie! to nieprawda! to... i rumieńcem oblały się jej lica i stanęła, nie mogąc dokończyć, zmieszana i szczęśliwa.

Margrabina bierze ich za ręce: No! moje dzieci! nie traćcie czasu, już ja wam długo nie pozostanę... Ale widzisz, Raynaldzie, że jednak tylko z rąk moich żonę dostałeś!

Na tem koniec.

Czy pani Craven dla tego napisała dwa tomy, aby nam dowieść, że małżeństwa francuskie, à la mode française, są jeszcze najlepszymi małżeństwami?... Za wieleby było tego dobrego!

O „Maitre des forges“ już nawet wspomnieć nie mogę; miałem dobre chęci — któż ich nie ma! i piekło niemi, mówią, brukowane!

A. W.

KRONIKA LITERACKA I BIBLIOGRAFIA.

Z różnych sfer, (Lwów, księgarnia polska, 1882 roku.)

Pod tym tytułem mamy przed sobą świeżą pracę p. Orzeszkowej. Są to cztery szkice powieściowe, nieobszernych rozmiarów: Sielanka nieróżowa, Daj kwiatek, Złota nitka, Zefirek.

Nie mamy zamiaru wdawać się w szczegółowy rozbiór drobnych tych utworów utalentowanej powieściopisarki, pragniemy tylko w krótkich słowach zaznaczyć treść wybitniejszych i wypowiedzieć kilka uwag, jakie nam się mimowoli po przeczytaniu nadesłanej nam książki nasunęły.

Spółczesna krytyka wysoko postawiła prace p. Orzeszkowej i rzeczywiście zajmuje ona na żytnym, rodzinnym gruncie powieści obyczajowej niepoślednie miejsce, a popularność, jakiej zażywa, zjednała jej przede wszystkim jasne poznanie i gruntowna, umiejętna ocena moralnej wartości społeczeństwa, odważne i śmiałe wypowiadanie prawdy. To też z ciekawością prawdziwą przystępujemy do przejrzenia każdego nowego jej utworu i w najdrobniejszych nawet pracach autorki „W klatce“, „Eli Makower“ itd., szukamy tych wewnętrznych i zewnętrznych zalet, jakimi zazwyczaj p. Orzeszkowa nęci i ujmie swoich czytelników. Tym razem przecież doznaliśmy pod pewnym względem niemiłego rozczarowania. Jeżeli w ogóle powieści obyczajowej wolno ogarniać wszelkie sfery, odbijać cienie i światła życia społecznego, to pamiętać należy, że celem jej głównym winno być kształcenie umysłu i serca, a co najmniej szlachetna rozrywka. Powieści, zawierające obrazy przeciwne dobrym obyczajom, przedstawiające charaktery występne, co wstręt obudzają, odsłaniające jedynie brudną stronę społeczeństwa, nie odpowiadają celowi i tylko szkodliwie działać mogą. Wzory szlachetności, poświęcenia i cnót wzniosłych więcej zdziałają dobrego, aniżeli odrażające przykłady wszelkich przywar, jeśli obok nich ani jednego dodatniego nie ujrzymy charakteru. Z przytoczonych powieści p. Orzeszkowej zdanie nasze zastosować mianowicie możemy do pierwszej p. n. Sielanka nieróżowa, gdzie moralna i materialna nędza w całej objawiają się nagości i ohydzie, gdzie bohater i bohaterka już od lat dziecięcych przypatrując się wszelkiego rodzaju podłości i poniżeniu, praktykują złe od zarania dni swoich. Matka naszej bohaterki to kobieta upadła, nałogowa pijaczka; jej mała Marcysia zgłodniała, zziębła, ołachmaniona, z sinemi śladami uderzeń na plecach i twarzy, biega za przechodniami ulic, żebrząc; sypia pod murami kościołów, lub drzewami publicznych ogrodów. —

Bohater Władek, „obdartus uliczny“, chowa się u starej ciotki Wierzbowej, o groźnie ściśniętej pięści, o zjadliwym uśmiechu w małych oczach i na pomarszczonych wargach, które niespokojne sumienie w nocy spać nie pozwala, co umie tylko krzyżeć, łajać i szturchać; to też Władek pięść skula i „ze zgrzyoty rzuciłby się w sadzawkę“, bo dziecku zbrzydło już „to psie życie“; uprowadza obce gołębie, kradnie smaczne marchwie i brukwie chłopom z wozu, a za wyzebraną dziesiątkę idzie z Marcysią popatrzeć na łamane sztuki skoczków ulicznych, gdzie jego przyjaciel Franek uczy go, jak wyciągać panom chustki z kieszeni. Później bogaty, ale groźny stryj bierze Władka, jako posługacza, do swej cukierni, obdarza go starą odzieżą po swych synach, ale nieraz i giętką laską zostawia Władkowi przez czas długi sine plamy na plecach. Chłopiec jednak dość zadowolony z nowego położenia; umie już zręcznie podawać gościom lody i czekoladę, z gorączkowym rumieńcem na białych policzkach ściga niespokojnym wzrokiem toczące się kule po zielonem suknie, to znów pożądliwe spojrzenie przenosi na ręce gości, niosące do ust kufle spienionego piwa, lub szklanki złocistego ponczu i w głowie roją mu się nieokreślone, gorące pożądania... jak zostać bogatym — bez pracy. — Tymczasem Marcysia, którą matka-pijaczka odbiegła i samą w świat rzuciła, wstępuje się s'arej Wierzbowej. Wyrosła już na śliczną dziewczynę o promiennym oku i złocisto-ognistym włosie; Władek widuje jeszcze zawsze towarzyszkę swawoli i niedoli dziecinnej, obiecuje, że skoro zostanie bogatym, ożeni się z nią i kupi jej suknię, jak słońce i trzewiki, jak korale i na czerwonym krześle przed złotem oknem ją posadzi. I dziewczyna wierzy wszystkiemu, bo kocha Władka i cierpliwie znosi straszłą nędzę obecną. Aż pewnego dnia, jak grom, uderza w nią wiadomość, że Władek w zмовie z przyjacielem Frankiem włamał się do domu bogatego ogrodnika, skradł mu pieniądze i schwytany, do hańbiącego więzienia odstawionym został. Marcysia z rozpacz... „upiła się!“

Temi słowy kończy się Sielanka, zaprawdę, nieróżowa.

Bohaterka następnego szkicu urodziła się także w karczmie mrocznej, ciasnej, z pochyłymi ścianami i przegniłym dachem — z ojca żyda, arendarza. Smukła, hoża Chaite, z rumieńcem na śniadej twarzy, z kruczym warkoczem i czarnem okiem, patrzy z progu rodzinnej chaty na świat daleki, tętni za czemś, zapewne za tem, czego nigdy posiadać nie miała — marzy o szczęściu... bo niekoniecznie potrzeba być królową, aby o szczęściu marzyć. Ale z 15-tym rokiem życia wydano Chaite za Lejbę i od tej chwili porwaną została w wir nieubłagany, wśród którego stopy stopom zazdroszczą każdej piędzi zdobytego gruntu, piersi piersiom odkradają usiłując każdą odrobinę powietrza, usta ustom wydzierają każdą odrobinę pożywienia, czoła góreją od trudu, serca twardnieją, brudzą się i więdną... Śmierć zabrała Chaicie wszystkich ukochanych, jedyny pozostał wnuk kilkoletni, o kasztanowatych kędziorkach Chaimek. Tak sama na świecie Chaite skupuje całymi dniami starą odzież, wyrzucone przez okna stare łachmany ze śmietnisk podejmuje, a gdy późnym wieczorem wraca do izdebki tak niskiej, że czerniałych belek jej sufitu rękami dosięga i tak ciasnej, że rozsypujący się gliniany piec większą jej połowę zajmuje — składa kosz na ramionach ciężący i drżącymi rękami przebiera podarte, brudne łachmany.

I dwie drugie powieści tylko z posępnej strony przedstawiają życie. Bohaterka ostatniej w młodości piękna, wiotka, stąd „Zefirką“ zwana, grająca i śpiewająca, zachowana w sobie, później typ niedbałej i niegodnej matki, kończy znów... w łachmanach; chodzi od domu do domu, gdzie podaje we czworo złożony arkusz, na którym czytają tylko pierwsze słowa: „Jaśnie Wielm. Państwo, ze szlacheckiej rodziny pochodząca i t. d.“

Mimo całego uznania dla autorskich prac p. Orzeszkowej, z przykrością zaznaczamy, że powieści w mowie będące nie są w stanie zadowolić czytelnika z etycznego mianowicie względu. Zupełny brak wyższego celu moralnego i dążności wzniolejszych — to niedostatki, których

nie jest w stanie wynagrodzić zręczny układ, łatwość opowiadania, styl malowniczy, a nawet prawdziwe i wdzięku pełne obrazy natury. — Czuje to sama autorka, a przeprasząc czytelników za swe „łachmaniarki“, tak się w końcu tłumaczy: „Ja i ona (łachmaniarka) należymy zarówno do tej ogromnej rodziny, która zwie się ludzkością. Krewna to więc moja i — raz jeszcze przepraszam państwa — ale i wasza.“

— **Pani Zofia Kowerska**, autorka głośnego dzieła „O wychowaniu macierzyńskim“, przesłała „Gazecie Polskiej“ warszawskiej krytykę poezji M. Konopnickiej, mając szczególnie na względzie te, które traktują o naszym ludzie wiejskim. Zarzuca tam poetce zbyt wiele sentymentalności, przesadę w malowaniu nędzy tegoż stanu, a tem samem szkodliwą tendencją.

— **Złote serce**, wiersz ku czci ks. Pijara Stanisława Konarskiego, przez Teofila Lenartowicza. Kraków nakładem zgromadzenia XX. Pijarów, 1882. Przedstawia tu poeta zepsucie czasów saskich, a na tem tle ciemnem jaśnieją prawdziwie wielkie serca, Konarskiego przede wszystkim — one nie pozwalają tracić nadziei w lepszą przyszłość, której zawczasu przygotowują podstawę.

— **Ostatni zeszyt „Przeglądu Polskiego“** podaje bardzo zajmujący i wyczerpujący życiorys księżniczki Franciszki Urszuli, matki księcia „Panie kochanku.“ Znajdujemy tu kilka wierszowanych jej listów do męża, którego gorącą kochała miłością; wiersz jest gładki, pełen najtkliwszego uczucia. Księżna lubiła naukę i literaturę, na zamku swym w Nieświeżu utworzyła teatr, dla którego sama pisywała albo oryginalne sztuki, albo je tłumaczyła z francuskiego. Ostatnie lepiej się jej udawały, mianowicie Moliera „Le médecin malgré lui“ i „Les Précieuses ridicules.“ Układała także wcale zręczne zagadki wierszami.

* * *

— **Jadwiga Teresa**. Podarek dla dobrych dzieci, zawierający czterdzieści sześć moralnych powiastek, ozdobionych 12 rycinami, Warszawa, nakł. G. Sennewalda, druk J. Ungera 1882, w 8-ce str. 241 — cena 1 rs. 35 kop.

— **Korytkowski Jan**, ks. Prałaci i kanonicy katedry metropolitalnej gnieźnieńskiej od r. 1000, aż do dni naszych podług źródeł archiwalnych. Zeszyt I, Gnieźno nakł. i druk J. B. Langiego 1882 w 4-ce, str.

— **Kraków Paulina**. Powieści z dziejów naszych, Warszawa, druk M. Ziemkiewicza i spki 1881 w 8-ce, str. 299.

— **J. I. Kraszewski**. Białe książe, czasy Ludwika Węgierskiego, tom I. II. (Powieści historycznych XV). Kraków, nakł. spółki wydawniczej księgarzy warszawskich, druk Anczyca i sp. 1882 w 8-ce, str. 163, 173, 174. Cena 3 ruble.

— **Marczewska Alexandra**. Królewski dziadek, opowieść z czasów króla chłopków, Kazimirza W., oraz przypisy zawierające rys panowania tego króla, napisane dla rolników i rzemieślników. Warszawa, Gebethner i Wolff 1881, str. 75, cena 40 kop.

— **Orzeszkowa Eliza**. Widma, powieść (Wydawnictwo E. Orzeszkowej i sp. XVI). Wilno, druk J. Blumowicza, 1881 w 8-ce, str. 128, cena 60 kop.

— **Pawłowicz Edward**. Rzut oka na stanowisko marlarstwa polskiego wobec sztuki u obcych, rzecz czytana na publicznem posiedzeniu w Zakładzie nar. im Osolińskich, Lwów, nakł. autora, druk Winiarza 1881 w 8-ce, str. 20.

— **Przyborowski Walery**. Baśnie ludowe dla młodszej dziatwy z 8 rycinami kolorowemi, rysunku Wojciecha Gersona. Warszawa, nakł. Gebethnera i Wolffa, druk S. Orgelbrandta synów 1882, w 8-ce, str. 137 — cena 1 rubel 50 kop.

— **Skorkowski Antoni**. Matki i karmicielki (Wydawnictwo E. Orzeszkowej). Wilno, druk J. Blumowicza, 1881 w 8-ce, str. 34. — cena 30 kop.

— **Smolka Stanisław**. Szkice historyczne, serya I. Warszawa i Kraków, nakł. Gebethnera i Wolffa, druk Anczyca 1882 w 8-ce str. 360, cena 2 ruble. Zawierają:

Niepoprawny ród; Witold pod Grunwaldem; Długosz; Unia z Czechami; Słowo o historii.

Teatr.

Ostatni czas obfitym, może za obfitym nawet był w przedstawieniu benefisowe — naliczyliśmy ich cztery w przeciągu dni ośmiu, z czego, mówiąc nawiasem, publiczność niebardzo zadowolona była; bo jak z jednej strony pragnęliby wszyscy licznem zebraniem dowieść artystom-beneficyantom uznania i sympatii, tak z drugiej niejednego obowiązki, lub inne, równie słuszne powody wstrzymują od codziennego niemal uczęszczania do teatru. To też zauważyliśmy, że stopniowo coraz mniej licznie zgromadzano się, na czem najgorzej wyszedł p. Tureczyński, jako mający z kolei ostatni benefis.

Odegraną została nasamprzód na benefis p. Kasprowiczowej komiczna operetka Offenbacha, Wielka Księżna Gerolstein, która, jakkolwiek zrosła się już, że tak powiemy, z repertoarem teatralnym całego świata muzycznego — u nas, wśród poważniejszego usposobienia, powodzenia nigdy mieć nie będzie. Pominąwszy już libretto, które, jak w ogóle u wszystkich, a mianowicie offenbachowskich operetek, pod względem etycznym i estetycznym razi delikatniejsze uczucie, sama nawet muzyka, jak nam zaręczają znawcy, mało ma wartości, a traci ją zupełnie, gdy gry nie podtrzymują ani chóry starannie wyćwiczone, ani dobra orkiestra. To też dziwić się nie można, że z wyjątkiem benefisowego, na wszystkich następnych przedstawieniach Ks. Gerolstein teatr był pustym.

P. Linkowska wybrała na swój benefis znany nam już z lat dawniejszych czteroaktowy dramat Newskiego i Dumasa: Daniszewy. Sztuka ta charakteryzuje wiernie społeczeństwo rosyjskie na schyłku czasów nikolajowskich, a w zakroju politycznym, którego odbiciem jest Francuz de Tolde, była nawet swego czasu tendencyjną. Nas może zajmować jedynie, jako utwor dramatyczny, mogący do pewnego stopnia podobać się na scenie, jakkolwiek w przedstawieniu charakterów niejedne dałyby się odsłonić niedostatki. Z personau, występującego w tej sztuce, pierwszeństwo należy się niezaprzeczenie p. Linkowskiej, która dzielnie odtworzyła wyniosłą postać despotycznej arystokratki rosyjskiej. Z innych na wyszczególnienie zasługuje gra p. Otrębowej w roli księżniczki Wallanow i p. Hierowskiego, który sympatyczną postać na wskroś szlachetnego młodzieńca-arystokraty oddał z właściwym sobie talentem, prawdą i godną zaznaczenia dystynkcyą. P. Skirmunt, jako Osip, zanadto był płacziwym, czego nie usprawiedliwiałoby nawet tak wielkie poświęcenie dla ukochanej istoty, jak przywdzianie zakonnego habitu. Poświęcenie ma zawsze w naturze swej coś hartownego, coś ze stali i żelaza i wtedy tylko jest rzeczywistem poświęceniem.

Korzystniej przedstawił się p. Skirmunt w roli Łaszczu w tragedji M. B. Antoniewicza pt. Anna Oświęcimówna, którą to sztukę wybrał zarazem na swój benefis, za co mu tylko publiczność wdzięczność i podziękowanie winna. Jeżeli bowiem głównem zadaniem sceny narodowej jest rozniecać w publiczności uczucia szlachetne i wzniosłe, budzić zamiłowanie do dziejów, języka ojczystego i świętych pamiątek przeszłości, to jedynie przez wybór sztuk o wskroś zacej, uczciwej, patryotycznej tendencyi, zalecających się językiem poprawnym, dźwięcznym i formą udatną, zdoła cel osiągnąć. — Jak zwykle w tego rodzaju rolach, tak i tym razem p. Hierowski, jako Stanisław Oświęcim, pod każdym względem grał swoją starannie obmyśloną zadowolił publiczność. Na pochwałę również zasługuje gra p. Kałużyńskiej w roli Anny Oświęcimówny. P. Kałużyńska, jak z przyjemnością zauważyliśmy, skorzystała z życzliwych, dawniejszych uwag naszych, na czem nie tylko ona sama, ale i sztuki, w których zwykle artyście tej pierwszorzędne powierzane bywają

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE I POTOGZNE.

role, znacznie zyskują w przedstawieniu. Tylko p. Kasprowicz w roli księcia Wiśniowieckiego rozczarował nas najkompletniej; przepraszamy mocno, ale ani postawa, ruchy, układ zewnętrzny, ani ucharakteryzowanie się bynajmniej książęcemi nie były. Szlachta, już to stronnicy Łaszcza, już Oświęcimów, choć w kontuszach, całkiem niekontuszowo się przedstawiła, jakoby dla zaznaczenia w tym względzie łączności i zgody z potomkiem Korybutów.

Ponieważ w obecnym sezonie muzyczna i wokalna część przedstawień zaniedbaną nieco została, tak, że oprócz od czasu do czasu powtarzającej się, a zawsze sympatycznie przyjmowanej Halki, lepszych oper i operetek dawno nie słyszeliśmy — prawdziwie miłą niespodziankę sprawiła nam wiadomość o przysposobieniu na benefit p. Turczyńskiego trzeciego aktu ze Straszniego dworu Moniuszki i drugiego z Violetty Verdiego. Tymczasem, niestety! przedstawienie to zawiodło wszelkie oczekiwania i nadzieje dość licznie w teatrze zgromadzonej publiczności tak dalece, że nawet niemuzykalne osoby czuły niczem nieusprawiedliwione niedostatki — mianowicie w składzie i zarządzie orkiestry. Sam beneficjant nie zdołał swym sympatycznym głosem ocalić honoru przedstawienia, jakkolwiek partya Stefana w Straszonym dworze umiejętnie, czysto i z uczuciem odśpiewał.

Podobnego rozczarowania doznaliśmy na przedstawieniu następnego dnia Mazepy Słowackiego. Jest to jeden z tych utworów nieśmiertelnego naszego wieszczdramaturga, który ani pod względem akcesoryi dekoracyjnych, ani liczby personelu, ani samego odtworzenia charakterów nie przedstawia niepokonanych trudności scenicznych, jakie napotykamy n. p. w Balladynie lub Lilli Wenedzie i wraz z Maryą Stuart, zdaniem naszym, może być grywanym na scenie poznańskiej, ale naturalnie przy większej staranności w wystawieniu, stosowniejszem obsadzeniu ról — a co najważniejsza, potrzeba ze strony artystów dokładniejszego pojęcia i przejęcia się przedstawianymi charakterami i głębszych studyów wobec trudniejszych kreacji. Talent p. Otrębowej, której słuszne publiczność składa hołdy w oddaniu dystynkcji i elegancji pełnych ról salonowych, nie nadaje się do ról wysoko tragicznych, to też postać Amelii wypadła zbyt blado i spodziewanego nie wywołała wrażenia. P. Skirmunt nie sprostął bynajmniej trudnemu zadaniu odtworzenia wspaniałej, posagowej postaci pełnego grozy i zemsty — i w śmierci samej wyniośle-dumnego arystokraty-Wojewody. P. Królikowski przedstawił nam w Janie Kazimirze karykaturę monarchy polskiego a i w p. Kasprowicza Mazepie niktby się nie był dopatrzył tego „złotego sowi-
zdrzała“, „motylka dworu, którego spojrzenia, na kształt młota, ciągle w biedne serduszka uderzają i tłuką je na miazgę.“ Tylko pan Hierowski wyszedł zwycięsko z roli szlachetnego, pełnego najwznioślejszych instynktów, a tak nieszczęśliwie kończącego swój zawód Zbigniewa — wdzięczni mu przeto jesteśmy, że on jeden unikał prowincjonalizmów, jakimi, niestety! skażona jest wymowa wszystkich w ogóle artystów naszych, a co w wierszu takiego mistrza, jak Słowacki, w wierszu tak uroczej potęgi, siły i piękności języka tem jest zdroźniejsze i tem dotkliwiej razi. W chwili, gdy to piszemy, dowiadujemy się o pierwszym tego wieczora występie artystki sceny lwowskiej, pani Parżnickiej, w dramacie Fru-Fru. Ma nadto wystąpić p. Parżnicka w Ślubach panińskich Fredry, w Rozbitkach Blizińskiego, w Kiejstucie Asnyka i w kilku rozgłosnych komediach francuzkich, które dostarczą tej znakomitej artystce obszernego pola do uwydatnienia swego świetnego dramatycznego talentu, jakim już przed kilku laty w zachwytnie nieraz wprawiała nieskorą do entuzjazmowania się publiczność naszą.

— **Jutro**, t. j. 19 b. m. przypadają imieniny wieszcz naszego, Bohdana Zaleskiego; w Paryżu uroczyscie obchodzić je będą, 80 lat bowiem skończył poeta w tym roku. Jak już zapewne wszystkim wiadomo, cała Polska uczciłaby zacnego starca i z najodleglejszych jej krańców pospieszono przelać mu na ten dzień wyrazy miłości i uwielbienia. Spodziewamy się, iż dojdą nas szczegóły o odbytej uroczystości, więc w przyszłym numerze „Dwutygodnika“ podzielimy się niemi z czytelnikami.

— **Stowarzyszenie nauczycielek w Krakowie** rozwija się bardzo pomyślnie, członków coraz mu więcej przybywa, a potrzebującym jest w stanie udzielać pomocy i pożyczek, stosunkowo dość znacznych. Wydział stowarzyszenia zamysla nawet w roku bieżącym urządzić stałą wypożyczalnię książek dla nauczycielek w Krakowie.

— **W Paryżu** towarzystwo kobiece: Union des femmes artistes otworzyło pierwszą wystawę obrazów czysto niewieściego pędzla. P. Breslau, pastelista, odznacza się wybitnym, samodzielnym talentem, została też na zwykłej, tegorocznej wystawie nagrodzona medalem. Ktoś, oceniając w kobietach ten zwrot ku sztuce, przekazał akademii parzyckiej sztuk pięknych 48,000 fr., z których procent ma być użyty na zapomogę dla młodych pańien, poświęcających się artystycznemu zawodowi.

Łamigłowska.

Sylaby:

a, a, am, ba, bek, che, chus, dem, dy, e, fe, fta, gau, ger, glan, hen, il, kas, koł, kre, la, li, li, ma, na, na, ne, ne, ni, on, or, ru, so, ty, tyk, usz, zis, zwia.

Z tych ułożyć 13 wyrazów, których znaczenie:

1. Bożek grecki. — 2. Postać mitologiczna. — 3. Prowincja jednego mniejszego państwa w Europie. — 4. Służby kobietom do ozdoby. — 5. Rodzaj wiersza. — 6. Mąż z historyi św. — 7. Jedna z ozdób Dreżna. — 8. Sławny wojownik za kalifa Omara. — 9. Postać mitologiczna. — 10. Kobieta, znana z życiorysu jednego z naszych poetów. — 11. Ptak. — 12. Miasto w jednej z posiadłości rosyjskich. — 13. Szczyt w Ameryce.

Początkowe litery, czytane z góry na dół, tworzą imię i nazwisko jednego z poetów polskich — końcowe w tym samym porządku dwie nazwy jego poezyi.

Za cztery pierwsze, dobre rozwiązania tej łamigłówni, dwa z Poznania, dwa z prowincyi — przeznaczają się nagrody: „Dwa słuby“, powiastka Pauliny Wilkońskiej.

Rozwiązanie szarady

w nr. 12 Dwutygodnika

Maraton.

Rozwiązali dobrze: Panie: Hr. Bnińska w Ćmachowie, Kazimira Madalińska w Dębiczu, Emilia Ulatowska w Malachowie, Antonina Wileżyńska i Kornelia Grabska w Poznaniu. — Jaś Koczorowski w Czarnuszcze.

Od redakcyi.

Szanownym naszym Czytelnikom i Abonentom przypominamy, iż numer obecny ostatnim jest w tem półroczu, uprasza się zatem o wczesne odnowienie przedpłaty mianowicie na pocztach.

Treść: Artykuł wstępny: Wieczorne pogadanki starej babuni. IV. O posłannictwie człowieka. — Kilka słów o Edwardzie Rastawieckim i o rzeczywistym znaczeniu naszej galeryi narodowej w Poznaniu przez hr. Wawrz. Benzelsterna Engeströma. — Bracia cioteczni, powieść, przekład z włoskiego. — Korespondencya Dwutygodnika: Paryż. — Kronika literacka i bibliografia. — Teatr. — Wiadomości bieżące i potoczne. — Łamigłowska. — Rozwiązanie szarady z nr. 12. — Od redakcyi.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialna Teresa Radońska w Poznaniu. — Drukiem J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Lebiński) w Poznaniu.